

Edmund Mazur

Szpalty pamięci : adwokat Jan Pietrusiński (1917-1996)

Palestra 41/3-4(471-472), 282-285

1997

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Adwokat Jan Pietrusiński (1917–1996)

Odszedł jeden ze znanych, lubianych i szanowanych kolegów adwokatów, popularnie i pieszczotliwie zwany przez przyjaciół „Jasiem”. Liczne grono adwokatów warszawskich oraz najbliższa rodzina zebrały się 31 lipca 1996 r. na Powązkach w kościele św. Karola Boromeusza, aby pożegnać zmarłego dnia 25 lipca Jasia i odprowadzić Go na miejsce wiecznego spoczynku. Dopiero po śmierci okazało się, jak liczne grono przyjaciół i znajomych – mimo pory urlopów – przyszło Cię pożegnać. Będziesz żył Jasiu w naszej pamięci, choć nie zobaczymy już małego, ruchliwego i zawsze uśmiechniętego Jasia.

Adw. Jan Pietrusiński urodził się 16 maja 1917 r. w Annopolu Lubelskim jako syn Stanisława i Wandy z Augustynowiczów. Ojciec pochodził z rodziny inteligenckiej i był handlowcem. Rodzina była liczna – siostra i czterech braci. Matka prowadziła dom i zajmowała się wychowywaniem dzieci. Ojcu powodziło się dobrze, rodzinie na niczym nie zbywało. Niestety, niespodziewana śmierć ojca w 1935 r. postawiła rodzinę przed ciężkim wyzwaniem. Jasio był wówczas tuż przed maturą, musiał się troszczyć nie tylko o siebie, ale również o rodzeństwo i matkę. Był jednak od dzieciństwa zaradny i energiczny. Nie załamano się jako najstarszy z rodzeństwa przy pomocy rodziny nie tylko sam ukończył gimnazjum, ale jeszcze pomagał młodszemu bratu.

Szkołę powszechną ukończył w Annopolu. Zdał bez trudu do Państwowego Gimnazjum w Ostrowcu Świętokrzyskim, które ukończył z wyróżnieniem w roku 1936. Już od pierwszej klasy wyróżniał się pilnością i zdolnościami. Opowiadał mi wielokrotnie, że pomagał słabszym kolegom i był ulubieńcem dyrektora. Już od czwartej klasy utrzymywał się z korepetycji. Był lubiany i polecany przez grono pedagogiczne jako zdolny korepetytor. Nauka przychodziła Mu bez wysiłku, a wrodzone zdolności pedagogiczne pozwalały przekazywać ją rówieśnikom. Te wrodzone zdolności pedagogiczne wielokrotnie obserwowałem w Jego stosunku do aplikantów adwokackich. Jako patron i członek rady zawsze znalazł wspólny język z młodszymi adeptami zawodu, którzy właśnie do Jasia udawali się z prośbą o radę i pomoc. Nie skąpił jej też nikomu. Był znany z życzliwości i zdarzało się, że aplikanci ją wykorzystywali. Nawet gdy zdawał sobie z tego sprawę, traktował ich pobłaźliwie.

Po zdaniu matury wyłoniła się sprawa wyższych studiów. Jasio od początku był zdecydowany na prawo. Opowiadał mi, że jeden z profesorów gimnazjum „zaraził” Go prawem. Jako niedoszły prawnik wykładał historię. Udzielał też korepetycji koledze, którego Ojciec był adwokatem. Często bywał w tym domu i obserwował panującą tam atmosferę, spory

i dyskusje bywających tam prawników. Opowiadał, że imponowało Mu to i dlatego postanowił studiować prawo. Same studia wymagały jednak znacznych wydatków pieniężnych, a tych Jasio nie miał. Pozostał więc nadal korepetytorem i przez rok intensywnie ich udzielał po kilka godzin dziennie. Z dumą opowiadał, że zarobił ponad tysiąc złotych, co przed wojną było poważną sumą. Po roku złożył potrzebne dokumenty i bez trudu dostał się na prawo w Uniwersytecie Warszawskim. Posiadał już indeks, nie martwił się o pieniądze i przez pierwsze miesiące rozkoszował się wykładami i swobodą. Wydawało Mu się, że ma za dużo czasu. Wiedział jednak, że studia trwają 4 lata. Mieszkał różnie, trochę prywatnie, trochę w akademiku, trochę na „waleta”, jak to młody student. Nadal dorabiał korepetycjami, ale już nie musiał tak intensywnie pracować, bo miał swoje oszczędności, a w Warszawie korepetycje były droższe. Opowiadał, że były to Jego najszczęśliwsze lata młodzieńcze. Niestety, wojna przerwała naukę i bez troskę. Jasio był wówczas w domu, na studia już nie wrócił. Pomaga rodzinie, ale nie zamierza rezygnować. W roku 1942 powraca do Warszawy i zapisuje się na prawo tajnego Uniwersytetu Warszawskiego. Utrzymuje się z korepetycji, dorywczych prac, handlu itp. Nawiązane przedwojenne kontakty i znajomości pozwalają Mu wiązać koniec z końcem. Tuż przed powstaniem kończy tajne komplety prawa, ale dopada Go ciężka choroba, która będzie trwała bardzo długo i przysporzy wielu dolegliwości.

Po wojnie, natychmiast po rozpoczęciu pracy sądów warszawskich, zgłasza się na aplikację sądową, którą rozpoczyna w Sądzie Okręgowym pod kierun-

kiem sędziego F. Czerwiakowskiego. Egzamin sędziowski z wynikiem dobrym zdaje w czerwcu 1948 r. Dnia 26 sierpnia 1948 r. rozpoczyna aplikację adwokacką u adw. Feliksa Godziejewskiego. Był to patron wymagający, ale jednocześnie pozostawiający aplikantowi wolną rękę co do wyboru spraw oraz taktyki prowadzenia. Wyznawał zasadę, że aplikant musi się uczyć prowadząc samodzielnie sprawy i sam musi znaleźć właściwy przepis i umieć go zastosować. Jasiowi to odpowiadało, był już przecież po aplikacji sądowej, miał nawiązane liczne kontakty – również w adwokaturze. Wpis na listę adwokatów uzyskał 24 sierpnia, a ślubowanie złożył 31 sierpnia 1950 r. W ten sposób Jasio zrealizował swoje marzenie i rozpoczął pracę adwokata.

Start miał o tyle ułatwiony, że kancelarię prywatną prowadził razem ze swoim szwagrem, adw. Robertem Prusińskim, przy ul. Chmielnej. Klientela była różna, ale Jasio najbardziej lubił sprawy karne, choć nie stronił również od spraw cywilnych. Pod koniec swojej kariery adwokackiej skoncentrował się raczej na sprawach cywilnych oraz z prawa rodzinnego. Wielokrotnie występowałem razem z Jasiem, a kilka spraw nawet razem prowadziliśmy. Zawsze był dobrze przygotowany, zawsze pogodny i potrafił rozładować napiętą atmosferę dobrze opowiedzianym dowcipem czy dykteryjką.

Preferował skuteczność. Często powtarzał, że o renomie adwokata decyduje wiele czynników, ale klient docenia tylko rezultat. Nie zawsze się z Nim zgadzałem, jednak raz dowiódł swojej racji. Otóż broniliśmy w jakimś procesie gospodarczym, wielowatkowym i wielo-

dniowym. Ława oskarżonych była długa, a i obrońców było sporo. Wszyscy broniliśmy „na uniewinnienie”, bo oskarżeni nie przyznawali się lub odwoływali swoje zeznania, a inne dowody były nikłe, właściwie opierały się na opinii biegłych i hipotetycznym wyliczeniu szkody. Zapadły wyroki skazujące, dość surowe. W rewizji wszyscy zgodnie wnosiliśmy o uniewinnienie – również Jasio. Skład sądu rewizyjnego był surowy, znany „z zaklepywania”. Przemówienia były konsekwentne, zgodne ze złożoną rewizją. Jedynie Jasio zmienił swój wniosek rewizyjny na złagodzenie kary i jej zawieszenie. I tylko ta rewizja została uwzględniona, a oskarżony nazajutrz znalazł się na wolności. Nie muszę mówić, jaki rezonans wywołało to na sali, w bufecie i w kularach. Jasio przez kilka miesięcy miał multum spraw tego typu, a i na klientów nie narzekał. Interpelowany przez nas mówił, że obserwował miny sędziów podczas przemówień i doszedł do wniosku, że jedyna rada, to zmienić wniosek rewizyjny, bo ryzyko żadne, a skutek może być pozytywny. Po powstaniu zespołów adwokackich Jasio wstąpił do zespołu nr 5 i był jego członkiem od 1 września 1952 r. aż do końca swojej praktyki, tj. do 31 maja 1987 r.

Jasio miał charakter społecznika. Musiał zawsze „działać”, praca zawodowa adwokata ma w sobie coś ze społecznikostwa, więc oddawał się jej z pasją. Zostało to zauważone i nic dziwnego, że w kilka miesięcy po wpisie na listę adwokatów, Jasio został członkiem Rady Adwokackiej w Warszawie. Był wówczas najmłodszym członkiem Rady. Wysoko sobie cenił tę funkcję a również koledzy obdarzali Go zaufaniem. Członkiem Rady pozostawał w latach

1951–1956 oraz 1959–1973. W latach 1957–1959 był zastępcą rzecznika dyscyplinarnego NRA, a po roku 1983 został sędzią Wyższego Sądu Dyscyplinarnego.

Przez te wszystkie lata aktywnie pracował w samorządzie adwokackim, przewodniczył niezliczonym komisjom – brał udział w doskonaleniu zawodowym, szkoleniu aplikantów adwokackich, był referentem i sprawozdawcą wielu skomplikowanych spraw osobowych. Był znany z tego, że każdego życzliwie wysłuchał, poradził i starał się pomóc. Miał łagodne usposobienie, które nie przeszkadzało, że umiał być także stanowczy i nieustępliwy, a nawet zadziorny. Przejawiało się to najczęściej przy brydżu, bo lubił grać. Był nawet taki okres, że często grywał z Karolem Potrzebowskiem, Zygmuntem Branickim, Robertem Prusińskim i wieloma innymi kolegami. Ostatnie lata brydżowe spędziliśmy w klubie adwokackim, gdzie co wtorek w swoim gronie spędzaliśmy mile czas.

Podczas aplikacji sądowej w roku 1948 Jasio wstąpił do Stronnictwa Demokratycznego. Kiedyś, podczas jakiegoś spotkania towarzyskiego opowiedział mi w zaufaniu, że wstąpił do SD, aby podtrzymać tradycję rodzinną. Otóż jego stryjeczny dziadek Jan Pietrusiński był znanym działaczem politycznym i niepodległościowym. Został aresztowany, skazany w historycznym procesie 29 proletariaczyków i stracony na stokach Cytadeli w 1886 r. Jasio wybrał SD, gdyż współgrało to z Jego usposobieniem i temperamentem, ale nigdy nie powoływał się na swoje historyczne konseksje i tylko nieliczni koledzy o tym wiedzieli. Starał się działać w kole SD przy Radzie Adwokackiej, był nawet

przewodniczącym koła w latach sześćdziesiątych, ale wkrótce ustąpił pola innym, gdyż nie odpowiadała Mu rola reprezentanta. Miał zresztą ambitnych współzawodników w osobach adw. Czerskiego, Branickiego i innych.

Był odznaczony wieloma odznaczeniami i orderami. Najbardziej sobie cenił Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski i Złotą Odznakę Adwokatury. Największą wagę przywiązywał jednak do życzliwości kolegów. Był towarzyski i powszechnie lubiany. Pamiętam Jego imieniny – zawsze pełno kolegów, mieszkanie zawsze było za małe. Na jednym

z nich – nawet korytarz na klatce schodowej był zajęty.

Odszedł spokojnie, nikomu nie wadząc i nie sprawiając kłopotu. Tak, jak żył. Jeszcze dzień wcześniej telefonicznie umawialiśmy się na brydża. Naza jutrz kolejny zawiał, pogotowie, szpital... Szkoda, wielka strata warszawskiej palestry. Ubyła barwna postać. Małej postury, ale wielkiego serca. Żegnaj Jasiu! Żyjesz w naszej pamięci.

Edmund Mazur